



# ZAGZYM



T Y G O D N I K

Nr. 3 (8).

Warszawa, czwartek dnia 21 stycznia 1937 r.

Rok II.

## O RUDĘ NA OSTRY MIECZ

Z wszelkich tarć, rozgrywek i walk politycznych wyłączono u nas wojsko i nie potrzeba chyba dodawać, że słusznie. Żyjemy w chwili ścisłej łączności a raczej spójności społeczeństwa z wojskiem. Więź łącząca naród z wojskiem jest nawskroś uczuciowa.

Czas przeto na rozważenie, a przede wszystkim na zrozumienie, czego naród może się spodziewać od armii. Stawiamy sobie takie pytanie, mając odpowiedź na nie gotową. W roku 1935, w piętnastolecie naszej niepodległości, Inspektor Armii, obecny Marszałek Edward Śmigły-Rydz odpowiedział na to ważne pytanie, które nigdy nie traci ze swej ekspresji. Próba takiej odpowiedzi przenosi sprawę z wojskiem związane ze sfery uczuciowej, zawsze nieścisłej, na płaszczyznę rozumową.

„Nie ulega wątpliwości, że w każdym narodzie armia ma swych adoratorów i swych wrogów. Niemniej jednak, nawet najchłodniejsze i najbardziej spodłone społeczeństwo zawsze oczekuje od swej armii wzniosłości i bohaterstwa — jakby podświadomie szukało w niej jakiejś swej lepszej, szlachetniejszej inkarnacji. A czasem dla tego, iż uważa, że przeciw zawodowi armii jest bohaterstwo — taki sam zawód jak każdy inny“.

Oto wstępne stwierdzenie Marszałka. I powiedzmy sobie, że w istocie rzeczy tak jest. Ogół polski wierzy, że wojsko nasze jest i okaże się na polu walki bohaterskim. I stwierdzimy też, że ten ogół spodziewa się od armii naszej bohaterstwa. A skoro tak jest, znaczy to, że sądzi, iż armia nasza składa się i składać się będzie z bohaterów.

Należy jednak zastanowić się i nad tym, czy my aby nie szafujemy zbyt „bohaterstwem“ i „bohaterami“.

Zdaniem generała Kazimierza Sosnkowskiego:

„Przypuszczać należy, iż w każdym narodzie, moralnie i duchowo zdrowym, w momentach przełomowych, w godzinach próby, znaleźć się muszą jednostki o cechach bohaterskich. Są to ludzie, umiejący oddawać się sprawie ponad obowiązek, obdarzeni dostatecznie bogatym zasobem energii psychicznej, by móc za sobą porywać i prowadzić innych. Cechy te jednak są darem Bożym...“

Zdradziłibyśmy więc ostrą megalomanię narodową, gdybyśmy sądzili, że jesteśmy narodem samych przyszłych bohaterów, a poza tym na wojsko nasze zapatrywaliby-

śmy się w sposób przestarzały jako na wojsko... kondotierskie. Obecnie stosunek wzajemny społeczeństwa i wojska jest bardzo złożony. Dawniej, gdy istniały wojska najemne, zwycięstwa zamawiano, wojsko krew swoją sprzedawało. Wtedy społeczeństwo płacąc, płaciło za bohaterstwo, tego bohaterstwa wymagało. Wojsko współczesne stanowi nie kadra oficerska z podoficerską, kształcące w zawodzie wojskowym rocznik poborowych, lecz cały naród, który w chwili ogólnej mobilizacji napłynie do wojska jako olbrzymia masa ludzka. I byłoby dobrze, byłoby bardzo dobrze, gdyby społeczeństwo, mówiąc o wojsku, miało zawsze na myśli wojsko zmobilizowane, armię na stopie wojennej, nie zaś wyłącznie jak jest teraz, wojsko pokojowe. Wtedy zapanowałoby w społeczeństwie przeświadczenie, że wojsko jest — jak to określa Marszałek Śmigły-Rydz:

„tą drugą stroną, z którą się już nie zawiera jak dawniej kontraktu obywatelskiego na bitwy, z którą jednak łączy bardziej zawily, ale tym głębiej w duszę sięgający i wiążący głębiej ludzki kontrakt wspólnej miłości Ojczyzny“.

Z tego „ludzkiego kontraktu wspólnej miłości Ojczyzny“ wypływają obowiązki stron obydwu, i społeczeństwa i wojska, obowiązki nie pisane — to prawda, ale ciężkie. Od zrozumienia tych obowiązków zależy sprawiedliwa ocena wojska pokojowego, które dziś nam reprezentuje armię wojenną, a reprezentuje ją przez kadrę zawodową.

Zastąpić więc narazie musimy pytanie: czego naród może się spodziewać od armii? pytaniem takim: czego społeczeństwo może żądać od swej kadry wojskowej (t. zn. od tych wszystkich fachowców, których zadaniem i obowiązkiem jest przygotować naród w czasie pokoju do przyszłej wojny)? I na to pytanie daje Marszałek Śmigły-Rydz taką odpowiedź:

„Przede wszystkim opanowania technicznego zawodu pod względem instruowania i dowodzenia. Co to znaczy? To znaczy: każdy z nich, od generała począwszy, a kończąc na najmłodszym podoficerze, musi posiadać odpowiednią swemu stopniowi znajomość rzemiosła wojennego. Posiadając ją, musi ją też w zakresie odpowiadającym jego stopniowi ugruntować w innych. Więc dobre, solidne opanowanie rzemiosła, gruntowne wykształcenie facho-

we, łączące się z umiejętnością praktycznego stosowania tego wykształcenia.“

Tutaj natrafiamy na pierwsze ograniczenie. Szkoła wojskowa jako szkoła „daje kulturę, wiadomości, metodę, nie jest jednak zdolna do produkcji talentów“. Żadne wojsko nie jest wojskiem wyłącznie bohaterów i talentów wojskowych.

„Kadra musi nauczyć obywateli, odbywających służbę wojskową, potrzebnych sprawności wojskowych, czyli nauczyć posługiwania się narzędziami wojny. Jest to częściowo sprawność prawie że fizyczna, częściowo łączy się z wykształceniem umysłu w pewnych zasadach prowadzenia wojny. Poza tym kadra czuwa nad przygotowaniem odpowiednich narzędzi i środków wojny“.

Tutaj zaś wypływa drugie ograniczenie. Przygotowanie narzędzi i środków wymaga pieniędzy. Szafuje nimi naród przez określone instytucje. Za przygotowanie więc narzędzi i środków wojennych kadra wojskowa odpowiada w pewnym tylko stopniu.

„Ale przypuśćmy (mówi Naczelny Wódz), że już jest wszystko w porządku, że mamy odpowiednią, obowiązkową, fachową kadrę, mamy potrzebną ilość przygotowanych dobrych narzędzi i środków. Czy to gwarantuje nam — nie zwycięstwo, ponieważ ono zależy od talentu i od czynników często niezawisłych od nas — ale czy to gwarantuje nam, że nasza armia będzie się dobrze biła?“

I pada, paść musi odpowiedź: Nie! A nie dla tego, że wojna jest dziedziną panowania śmierci, a w tej dziedzinie sama broń nie wystarczy i nie wystarczy sam umysł choćby najlepiej wykształcony. Potrzebne są cnoty żołnierskie potrzebna jest odorność na groźbę śmierci, stanowiąca kardynalna żołnierska cnota, opierająca się na miłości Ojczyzny, honorze żołnierskim, obowiązku i karności. A zważywszy, że to są cechy charakteru — nie umysłu, które nadto wsparte być muszą takimi właściwościami, jak: wytrwałość na trudy fizyczne, punktualność, zamilowanie do porządku, zaradność, koleżeństwo, dobry humor i optymizm i t. d. „Skąd ma się to wszystko znaleźć w armii?“

I na to kolejne pytanie Marszałek Śmigły-Rydz gotów jest usłyszeć (i przynuszczać, że usłyszysz) ze wszystkich stron: „A od czegoż mamy wojsko w czasie pokoju, po co istnieje kadra?“

I odrazu może zgoda, tylko w jednym: „Kadra musi umierać na polu bitwy“. Jest to dla niej rzeczą załatwioną. Stara się też osiąść umiejętność prowadzenia innych przeciw śmierci i jeżeli posiada tę umiejętność — to znaczy, że nabrała w wojsku właściwych zalet charakteru. Ale z wybuchem wojny kadre wojskową zalewa zmobilizowana masa ludzka. „Czyż można — oto jakie z kolei pytanie nasunęło się Marszałkowi — na kadre zwalić całkowitą odpowiedzialność za cnoty żołnierskie tej masy“? A na to gotowiśmy wszyscy odrzec: „przecież oni wszyscy przeszli służbę wojskową, więc kadra powinna była im wpoić cnoty żołnierskie“ i gotowiśmy wierzyć, że odpowiedź nasza jest dorzeczna.

„Pamiętajcie, że w przeciągu czterdziestu lat życia obywatel spędza około dwóch lat w służbie wojskowej. A ileż trzeba terminować u kowala, aby zostać czeladnikiem? Kował zaś wcale nie uczy tego, że warto umrzeć dla honoru żołnierskiego. Naturalnie, kadra uczy cnot żołnierskich, ale jeżeli poborowy przychodzi do wojska z duszą słabą i tandetną, jeżeli dom, szkoła, społeczeństwo nie pamiętają, że każdy obywatel to przyszły bojownik i sami poza tym nie posiadają takich cech, jak punktualność, porządek, czysta robota, obowiązek, honor to jakim cudownym sposobem ma kadra w tak krótkim czasie tego wszystkiego nauczyć tak, aby to w duszy już na zawsze zostało? Kadra może jeszcze jedno zrobić. Przypominać narodowi, co to jest wojna, jakie ona stawia wymagania i wskazywać metody pielęgnowania w czasie pokoju cnot żołnierskich u obywateli. Aby naród, pamiętając, że wojna jest głównym lożyskiem, po którym historia się toczy, dawał co roku kadrze nawet nie błyszcząca stal hartowną, ale zdatną rudę, którą kadra może przekuć w ostry miecz.

Kadra nigdy nie bywa gorsza od społeczeństwa — czasem lepsza“.

Wyjątki przytoczone tutaj z przemówie-

nia Naczelnego Wodza dotyczą umowy niepisanej dwu stron: narodu i wojska i stwierdzają wyraźnie, że to, co ogół nasz nazywa wojskiem, czyli kadra wojskowa czasu pokojowego, częściowo jest tylko odpowiedzialna zarówno za środki i narzędzia wojenne, w które wojsko zmobilizowane musi być zaopatrzone.

„Rudę“ ludzką, zdolną stać się „ostrym mieczem“, musi naród kadrze wojskowej dostarczać co roku, ale dawać będzie tylko wtedy, gdy organizacja wychowania obywateli w państwie działać będzie planowo i sprężysto. Kadrze naszej nie można zarzucić, aby zagadnienia wychowania nie doceniała. Owszem, stwierdzić należy z wielkim uznaniem i z wielką wdzięcznością dla wojska, że sprawą tą zaprzęta się ono gorliwie, zastępując, a nieraz i wyręczając w dostępnym dla siebie zakresie inne czynniki, oficjalnie powołane do rozwiązania zagadnienia wychowania obywatela.

Posłuchajmy głosu generała Sosnkowskiego:

„Kierunek wychowania naszej młodzieży jest dla obrony narodowej zagadnieniem kapitalnym. My starsi — mam tu na myśli przedwojenne pokolenie bojowników o niepodległość — wzrastaliśmy w warunkach zupełnie odmiennych od warunków, w jakich rosną i dorastają nasi synowie. Myśmy musieli niepodległość zdobywać, nasi synowie muszą ją utrzymywać, bronić jej w ramach własnej państwowości. Myśmy byli pokoleniem romantyków; młodzież nasza musi pracować pozytywnie przy własnym, polskim warsztacie. I romantyzm i pozytywizm, pojęte jako prądy uczuciowe, mają swoje okresy gdy w sposób szczególny odpowiadają potrzebom narodu. Romantyzm ze swoją poezją i kultem bohaterstwa był niezbędny w okresie niewoli, jako bezcenne źródło podnieć emocjonalnych do buntu i walki, do oddawania siebie ponad obowiązek. Ale w czasie powstań narodowych do szeregu staje nie wielu, — do obrony własnego państwa prawo zmusza wszy-

stkich. Są to różnice bardzo istotne. Państwu potrzebny jest przede wszystkim wysoki poziom przeciętny ogółu obrońców; tej potrzebie należało by podporządkować metody kształtowania poprzez młodzież naszej duszy zbiorowej...

Jestem szczerze przekonany, że wśród celów i zadań wychowania narodowego kult obowiązku należy dźwignąć na wysoki piedestał. Gdy ogół obywateli spełnia sumiennie swój obowiązek, siła społeczeństwa i narodu staje się niepożyta Człowiek porządny, wychowany w poczuciu obowiązku, nie opuści nigdy postętku, ani pola walki...

Naród, w którego duszę wszczepiony jest kult obowiązku, ma armię bitną i stojącą na wysokim poziomie moralnym. Historia nie zna tak wielkiej przemocy fizycznej, któraby mogła odebrać miejsce pod słońcem narodowi w pełni zdrowia i krzepoty duchowej. Odwieczne zagadnienie ducha i materii jest w prawach wojny dawno rozstrzygnięte: chwała Bogu, na wojnie decyduje jakość i charakter, nie ilość, maszyna, narzędzie. Każdemu większemu przemotowi w technice wojennej towarzyszą zazwyczaj przepowiednie o zaniku znaczenia człowieka wobec potęgi i maszyny. Tak jest do pewnego stopnia i obecnie, w epoce lotnictwa, gazów i motoryzacji. Ale i w lotnym płatowcu i w żelaznym wnętrzu potwornego czołga tkwi żywa istota, mająca mózg, nerwy i serce. Człowiek jest, był i pozostanie rozstrzygającym czynnikiem obrony narodowej.

Dbajmy więc w Polsce o człowieka...“

Czytelnicy „Zaczyń“ zauważyli, że sprawie przodującego człowieka w Polsce poświęciliśmy szereg artykułów, podobnie jak i najściślej związanej z typem nowego człowieka — sprawie wychowania państwowego. Obydwie te sprawy są dla nas jedną i najściślej związaną z obroną państwa, czyli z wzrostem jego potencjału wojennego.

## Z ZAKRESU METODOLOGII MYŚLENIA PAŃSTWOWEGO \*)

### PRZEKONYWANIE I ARGUMENTACJA

Nie tylko pedagog, ale każdy publicysta, polityk czy zwykły agitator wiecowy stara się przekonać słuchacza czy czytelnika o słuszności swych tez, o prawdziwości swych wywodów i zaleceń.

Argumenty przekonywujące są bronią skuteczną w mniemaniu tych działaczy.

Argumentacja „dobra“ jest również konikiem adwokatów i referentów zarówno w urzędach, jak i w Sejmie, w dyskusjach publicznych, nawet towarzyskich.

Wszyscy są przekonani, że istnieje dobra i zła argumentacja w znaczeniu teoretycznym, czyli jedynie od siły, wartości i słuszności dowodów zależy bezapelacyjnie konieczne zdobycie słuchacza, nieodparta moc pociągnięcia za sobą każdego człowieka, każdego środowiska.

Dziwią się ludzie, że sugestywna mowa jakiegoś wodza czy trybuna ludowego, czytana przez obcego lub zdala od audytorium wielotysięcznego, — przedstawia się jako zgoła pozbawiona tych „murowanych“ argumentów, które nieodparcie działały na słuchające tej mowy masy.

Również wydaje się dziwnym, że publicysta jakiejś grupy politycznej, uważany za wyrocznie przez oczywistą dla adherentów prawdziwość i moc swej argumentacji, uważany jest w środowisku o innym przygoto-

waniu politycznym za płytkiego demagoga, nieuka, a nawet durnia.

Nie o subiektywnej jednak ocenie argumentów przekonywujących będziemy mówili. Subiektywizm tego typu posiada dziś niewielką wartość pedagogiczną nawet na niskich poziomach intelektualnych.

Metodolog doszukuje się wartości teoretycznej wysiłków umysłowych, związanych z przekazywaniem innym swych założeń, teorii i rezultatów poznawczych.

Przemyslenie teoretyczne podstaw argumentacji i związanej z tym sprawy przekonywania innych jest nieodzowne dla działacza państwowego a jeszcze więcej dla kierowników akcji państwowej, aby lekko myślnie nie dążyli do wciągnięcia w krąg dyskusji w sprawach państwowych kół nieprzygotowanych do myślenia państwowego.

Widzimy dziś przeprowadzanie wprost z brutalną otwartością w państwach dynamicznych linii demarkacyjnej pomiędzy sprawami, które wolno publicznie roztrząsać, a sprawami, o których mówi się tylko wśród powołanych czy po prostu przygotowanych do myślenia państwowego.

Dzieje się to nie z powodu jakiejś tajemnicy urzędowej, otaczającej te sprawy państwowe, ale dla prostej zasady, że rozważanie na forum nieprzygotowanym obniżyłoby poziom tych rozważań, nie dając wzajemnie żadnych korzyści rozwojowych, a tylko pole do popisu rozmaitym gębaczom lub

płytkim a żądnym sensacji dziennikarzom i plotkarzom kawiarnianym.

Niestety w Polsce zakres spraw państwowych, które winny być zastrzeżone tylko dla przygotowanych, nie jest ani dostatecznie sprecyzowany, ani chroniony przed najazdem pierwszych lepszych intruzów, często-gęsto działających w imię interesów zgoła sprzecznych z interesami państwa.

Józef Piłsudski „wywalczył“ dla państwa od roku 1926 dwie dziedziny: armię i sprawy zagraniczne. O inne dziedziny wojował, lecz przedwczesna śmierć nie pozwoliła temu największemu państwowcowi położyć „tabu“ na takie dziedziny, jak wychowanie i gospodarka państwowa, gdzie również roztrząsanie publiczne i ingerencje grup społecznych winny być usunięte przynajmniej do czasu okrzepnięcia podstaw, na których może być zbudowana mocna państwowość polska.

W ten sposób właściwie już z góry przesądziłyśmy wartość bezwzględną, a raczej teoretyczną, argumentacji, gdyż nie uznajemy mocy dowodów wszędzie i wobec każdego, a tylko w stosunku do tych, którzy są już uprzednio przygotowani i umieją ocenić wartość takiej czy innej argumentacji.

Nieuka — nie przekona ani Newton, ani żadna teoria.

Nieuctwo jest wielorakie, a najniebezpieczniejsze w sprawach tak odpowiedzialnych i czułych, jak polityka czy akcja pań-

\*) Patrz Nr. 1 (6) „Zaczyń“.

stwowa. Szczególnie niebezpieczne, gdyż umiejętności humanistyczne są nieściśle i pozwalają najmniej nawet przygotowanym na sądenie o sobie, że mają coś do powiedzenia w wielu sprawach, a co jeszcze gorzej na urabianie opinii w kierunku pożądanym dla interesów poza państwowych.

Gdy już dokonamy tego podziału na tereny dozwolone i zakazane dla rozważań publicznych, pozostanie nam w całej ciągłości trudna sprawa oceny wartości teoretycznej argumentów, czyli sprawa przekonania innych o słuszności jakiejś teorii i płynących z niej wywodów rozumowych.

Sprawa ta jest względnie łatwa w dziedzinach ścisłej wiedzy czy techniki, co już omówiliśmy przy innej okazji: naukowiec porzuca dawną teorię i przyjmuje nową głównie dla specjalnie atrakcyjnych powodów, a mianowicie przypuszczenia, że nowa teoria pozwoli na nowe wielkie horyzonty i nową twórczość.

Naukowiec dobrze wie, że całe wieki można bronić starej teorii, że bardzo często w nauce powraca się lub przerabia stare teorie, gdy nowa czegoś nie chwyci i vice versa: nowa teoria często jest tylko słownym bluffem, na który rzucają się zbyt gorąco poszukiwacze „złota” naukowego, jeszcze nie odkrytych, a już mamiących porywcze i często niedoświadczone jednostki.

Naogół jednak w naukach poziom dyskusyjny jest tak wysoki, że i „magik” nie

potrafi zwrócić niczyjej uwagi, nawet najbardziej efektywną argumentacją. Naukowiec i technik żądają teorii *użytkowych* a nie słownych, teorii, którymi może i chce operować, i nie skłonny jest poddawać się cudzym wywodom, czyli stosowaniu tych teorii przez kogo innego.

Nie ma tajemniczych teorii naukowych i nie zwraca się uwagi w świecie nauki na prestidigitatorów. Tam każdy zaraz próbuje tych teorii użytkowych na swoim terenie badań, pitrasi sam potrawy, a nie delektuje się spreparowanymi daniami.

Jakże inaczej stoją sprawy w dziedzinach humanistycznych a specjalnie w sprawach państwowych, gdzie często nieodpowiedzialni kucharze smażą obiady, które zatrują na długo całe kraje i państwa. Rozważania konsumentów nie pomagają ani zabezpieczają dobrego przyrządzania potraw; nie są również w stanie uzdrowić chorego organizmu.

Zadne argumenty, żadna siła przekonania nie pomoże, gdy nie ma poza nimi teorii, która może być użytkowana zrozumiale dla użytkujących, a nie obgadana przez konsumentów.

W tej przeciwstawności użytkowania w celach realizatorskich a konsumowania teorii poznawczych kryje się cała ważność metodologiczna zagadnienia argumentacji.

Stąd przepaść pomiędzy wielkim wysił-

kiem wychowawczym, jaki wnosi ruch umysłowy, pobudzający do twórczości i do badania nowych teorii, a partyjnym czy grupowym zachwalaniem programów czy hasel. Stąd też oczekiwanie przez żarłoczne a oglupione dodatkowo przez płytką „argumentację” demagogów — rzesze konsumentów, „publiki”, na nowiny, na zapowiedzi akcji i t. p.

„Zaczyn” stale jest nagabywany przez dziennikarzy i niesfornych inteligentów, którzy odzwyczaili się od wysiłków umysłowych o to, co „właściwie ma do powiedzenia”, do wyjawienia „sekretu”, do przedstawienia programu, niczym „menu obiadowego”.

Pobudzenie do myślenia, jako podstawy do działań państwowych, do teoretycznego ujęcia strasznie zaniedbanych w Polsce podstaw państwowych, to wszystko wydaje się tym grasantom politycznym bez znaczenia.

Uważają oni to za gong przed obiadem, zwolujący donośnym głosem gości do wody i zagrychy.

Biedne rzesze głodnych zeru umysłowego! Lecz jeszcze biedniejsza jest Polska, bo musi na początku swej budowy mocarstwowej, staczać z nimi walkę, miast wprząc ich do świadomej, planowej pracy teoretycznej i wykonawczej.

Jak tu argumentować? Jaką wartość mają „dowody”?... (11).

## O ODWAGĘ INICJATYWY I ODPOWIEDZIALNOŚCI

Obraz tego bezmała wszystkiego, co od dwóch tygodni na marginesie (czy też „z okazji”) debaty budżetowej dzieje się na terenie polskiego Sejmu, budzi refleksje zgoła osobliwe.

Refleksje te — powiedzmy bardzo łagodnie — bynajmniej nie są z gatunku krzepiących ani budujących. Raczej przeciwnie. Ktoś, kto przez chwilę straciłby z przed oczu twarz i nazwiska ludzi zasiadających dziś w Sejmie, układ jego wewnętrznej scenarii, a nawet i całe zewnętrzne tło bieżącej sytuacji Polski, mógłby ulec mimowolnemu a niespodzianemu skojarzeniu myśli. Wsłuchując się mianowicie w rozbrzmiewające z ulicy Wiejskiej tokowisko patetyczno-wodewilowych monologów, w ciurkającą rozlewność dialektyki, w harmiderek indywidualnych wyskoków i pukawkowych efektów przy akompaniamencie niesynchronicznych postękiwań z różnych stron Izby, ten ktoś nader łatwo odniósłby wrażenie, że albo czas na sejmowym zegarze nagle cofnięty został o jakieś 12 lat wstecz, albo że oto właśnie teraz, na otwarcie sezonu 1937, powzięto tam zbiorowy zamiar wznowienia czegoś nakształt spektaklu z dawnego, doszczętnie już ponoć kiedys zgranego repertuaru ery przedmajowej. Ot, takiego — sobie rodzajowo-obyczajowego słuchowiska w ramach „teatru wyobraźni”, dla przypomnienia, jak to illo tempore bywało, z niemal wiernym odtworzeniem szczegółów kolorytu, smaku, poziomu...

Trudnością dla owego kogoś spadłego z księżycy byłoby conajwyżej tylko znaleźć nie wytlómaczenia, *dłaczego* właściwie wobec poniewolnych słuchaczy odbywa się tak nieciekawa audycja, ku czemu dostatecznej przyczyny nie daje chyba... rozpoczęty akurat teraz karnawał. Nie wszyscy jednak spadają z księżycy, nie wszyscy lubią żarty nie w porę. Ludzie w Polsce stają się dziś naogół coraz mniej skłonni do niefrasobliwej wesołości i do puszczania cugli fantazji. Natomiast uczą się coraz trzeźwiej patrzeć i na otaczającą ich rzeczywistość i na rozgrywające się przed nimi zjawiska.

Uczą się ponadto wyciągać z nich wnioski. I kto wie, czy zbyt dalekim od prawdy byłby tu pewien wniosek na temat przyczyny obserwowanych dziś w Sejmie prze-

jawów, wyciągnięty właśnie z dziwnego ich podobieństwa do przedmajowej działalności poselskiej. Czy tu mianowicie przypadkiem — w zmienionych, jakże dramatycznie innych warunkach ogólnej sytuacji — nie zaczyna się powtarzać historia z przed lat, kiedy to ówczesnym pp. posłom również wydawało się, że „Piłsudskiego już nie ma”, — i kiedy ta sugestia stawała się patentem na nieskrępowane i nieograniczone „prawo” do wszelakiego typu wystąpień poselskich?

Jeżeli choć cieni tej sugestii na temat omnibusowych kompetencji ma się stawać regułą w zachowaniu się dzisiejszego, ponoć odnowionego, ponoć zrekonstruowanego Sejmu, gdzie co krok mówi się właśnie o Piłsudskim, o Jego wskazaniach, o Jego testamentie, — to to wszystko jest *grube nieporozumienie*, panowie deputowani.

Niesposób zaś tego inaczej nazwać, kiedy z trybuny sejmowej czy od stołu komisijnego raz po raz rozbrzmiewa czyjeś pełne emfazy powoływanie się na anonimową „wolę wyborców”, u których jeszcze nikt nigdy nie sprawdził, czy ich zdanie akurat zgodne jest z wypowiedzią danego członka Sejmu.

Niesposób inaczej, jak grubym nieporozumieniem nazwać tej bezładnej i chaotycznej inflacji wniosków, projektów, interpelacji, gdzie obok najpoważniejszych tematów i zagadnień o znaczeniu istotnie państwowym, zgłaszanych atoli nieraz jednym pociągnięciem pióra lub języka, idą na tapetę zawiłych rozważań i pikantnych sporów najbłahsze, niewarte czasu i atłasu produkty domorosłej pomysłowości indywidualnej — jak na ironię nieraz narówni z jednaką powagą a z brakiem poczucia współmierności traktowane z tamtymi.

Niesposób tego również nazwać inaczej zwłaszcza wtedy, gdy poprzez tok płodów i wywodów pp. posłów czy nawet grup poselskich dość nagminnie przezierać zaczyna tendencja błyskotliwego „efektu”, mającego — zgodnie z zamierzeniem danego deputowanego — spowodować jeśli nie całą „rewolucję” w pojęciach i urządzeniach polskich, to już conajmniej „rewelację” lub bodaj tylko „sensację dnia” w malowniczych omówieniach gazetniczych.

W nomenklaturze stosowanej ongiś względem byłych sejmów określano tę tanią nieodpowiedzialnych wystąpień mianem demagogii. Dziś — o nazwie tej, jakże słusznej i trafnej, zdają się nic nie wiedzieć poniektórzy z obecnych posłów, któż wie, może właśnie ci sami, co ją do swych niewesołej pamięci poprzedników stosowali. Nikogo jakgdyby nie razi, że np. poseł, posiadający prócz diet całkiem niezgorsze dochody z prywatnej praktyki w wolnym zawodzie, zgłasza do łaski marszałkowskiej wniosek o redukcję poborów urzędników państwowych, zarabiających nb. znacznie mniej niż on. Nic nie szkodzi, że prochu nie wynalazł, bo sięganie do urzędniczej kieszeni było „odwiecznym” trick’iem, wielokrotnie już dla demagogicznych celów próbowanym przez różne dawno przebrzmiałe wielkości byłych sejmów. Jakoś to uszło, przeszło boczkim i coprawda — nie wyszło, ale „efekt” dla t. zw. wyborców był, choćby przez chwilę. Nawet i w prasie „pisało” o tym.

To nie jest przykład oderwany. Cała raz po raz przy każdej okazji na plenum lub w komisjach nawracająca i arcymodna obecnie dyskusja na temat kwestii żydowskiej w Polsce dostarcza znacznie jaskrawszych przykładów na to, jak się *nie powinno* dla sprawy tej szukać drogi załatwienia. Jakież to bowiem „klucz” do rozwiązania tego zagadnienia, mającego obok sensu narodowościowego również bardzo istotny sens ekonomiczny w przekroju ogólnopaństwowym, może dać fakt, iż jako naczelny argument ze strony jednego, drugiego czy piątego posła wysunięte zostanie jego osobiste, hałaśliwie okrzyknięte i emocjonalnymi inkwektywami zjeżone nastawienie przeciw Żydom? Przecież tak „zwalczać Żydów”, tak „rozwiązywać problem żydowski w Polsce” już dawno przed tym umiał łać endek, idący drogą pospolitej demagogii. I znów tu jakoby nawet i to „nie szkodzi”, że jeden czy drugi z najgłośniejszych w tej materii występujących posłów poprzednio może i był powiązany z tymi lub owymi koneksjami żydowskimi, rodzinnymi czy nawet i niekoniecznie rodzinnymi. Chodzi przecież o „efekt”. A odpowiedzialność? Eh, mniejsza o to.

Czyż inaczej było ze słynną, rewelacyjno-rewolucyjną interpelacją na temat Berezy, z tym istnym objawieniem Polsce nieznanych i zarazem znanych „państwowo myślących” elementów, które dla tego właśnie powinny być chronione przed osadzaniem w miejscu odosobnienia, ażeby ich członkowie kupą i siłą mogli tym łatwiej zaprowadzać w Rzeczypospolitej nowy porządek według ewangelii Doboszyńskich i przywódców z Wysoko-Mazowiecka?

Przykłady, przykłady... Można by je do prawdy wymieniać na tuziny, zarówno pod względem uczony jak gatunku. Co jeden to słuczniejszy, co jeden to efektowniejszy i mocniejszy.

A poza tym jeszcze coś stało się ostatnio w tym Sejmie rzeczą wybitnie mocną: — zbawianie w czambuł całej Polski na bardzo szerokiej a „wszechstronnej” płaszczyźnie historyczotycznych rozważań osobistych, oraz proroczych, niemal skargowskich przecieczek panów posłów co do losów nieszczęsnej Ojczyzny naszej. Zaczęło się to jeszcze w początkach obecnej sesji, zaraz na pierwszych posiedzeniach plenarnych. Kiedy to pp. deputowani, zamiast mówić o budżecie, nurtem jak prawie jeden mąż jęli się zatosliwie zamartwiać o Polskę; a teraz weszło już to jakos w obyczaj, w nawyk, stając się oznaką dobrego tonu przy uroczym wiejskiej. W prawdzie jeden z najoujniej rozkwitłych bukietów poselskiego na ten temat krasomówstwa zmarł, jak wiadomo, dość „efektowną” śmiercią pod cięciem lekarskiego noża Premiera Skłaskowskiego. Szkoda atoli, że tylko jeden, — roznogatunkowa bowiem flora wynurzeń z tej dziedzinie kiełkuje i krzewi się na niwie parlamentarnej również nagminnie. To zakwitnie różą konserwatywnych „zasadniczych” strapien nad „szerokim ujęciem sytuacji wewnętrznej wśród samej ludności polskiej”, — to się zazieleni kalną czyichś tam smętków i lęków, że Polska upadnie, jeśli nie przyspieszy stworzenia nowego obozu politycznego, a „przy okazji” nie zmieni także i „ordynacji wyborczej. Raz westchnie jak bratek, a raz jak bławatek, zależnie od tego, kto, co i jak wymyślił. I choć północ jeszcze mrozem dmucha, kwiatuśzków wbród, „choć koszykiem zbieraj”.

Tylko... załączka owocu zdrowej, konkretnej, prostej myśli twórczej, nieowiniętej w płatki kolorowych słów, jakoś na tym kwieciu dostrzec nie sposób. I pewno nie będzie podobnie jak i przed tym nie bywało, kiedy jeszcze rzewniejsza łezka patriotyczna domorosłych nadogrodników bez skutku podlewała twarde grzędy poselskich ław...

Szukanie upustu dla przyrodzonego lub sztucznie bującego indywidualizmu, choćby za cenę czepiania się bez wyboru każdej kwestii, jaka się nasunie, choćby za cenę utraty wyczuwania dystansu pomiędzy zagadnieniami istotnie państwowymi a drobnymi kwestykami przelotnej, drugorzędnej czy nawet lokalnej natury, choćby za cenę utraty poczucia tak roli, do której instytucja Sejmu jako całość jest powołana, jak nawet godności i powagi, którą winna reprezentować, — oto niestety cechy, które na podstawie obserwacji wydarzeń z ostatnich dwóch tygodni zdają się zakorzeniać na gruncie Izby deputowanych.

Jeżeli to niepokojące zjawisko sankcjonowane jest i niejako „legalizowane” wyznaczoną dziś zasadą „integralnego parlamentarizmu”, to tym gorzej. Niepodobna przypuszczać, że zakradające się do Sejmu obyczajne są obyczajami wszystkich posłów. Można by z całą satysfakcją przytoczyć cały szereg konkretnych, rzeczowych i rozumnych działań poselskich, opartych na istotnym przeświadczeniu, a dyktowanych rzetelną dbałością o wykonanie ciężących na Sejmie obowiązków. Tylko że ogół o nich nie wie prawie wcale, bo je przed ludzkimi oczami i uszami zasłania i przygłusza zgłęb mało poważne-

go widowiska sprawianego przez zbyt „indywidualnie” nastawionych kolegów posłów.

A przecież musi się chyba znaleźć w ześpolu 200-tu ludzi jakiś zbiorowy czynnik, który miałby odwagę wzięcia inicjatywy i odpowiedzialności za naprawienie tego, co w teraźniejszej działalności Sejmu staje się zdecydowanie złe i niepożądane. Z zadowoleniem i baczną uwagą powitać należy inicjatywę, jaka się pod tym względem przejawiała ostatnio ze strony Senatu. Życzyć jej trzeba pomyślnego rozwoju. Nie po raz pierwszy zresztą zdarza się tak, iż honor całego Parlamentu na punkcie wykazywania dojrzałości do właściwej roli ratować musi Senat.

O tym, że akcja stemperowania nadmiernych wybujałości poselskich i nakierowania ich na konkretną pracę jest możliwa, przekonanie wątpliwych winien przebieg dyskusji nad ustawą o zaciągnięciu pożyczki francuskiej i jej uchwalenie. Sens tego faktu nie leży bynajmniej w tym, jak to sobie symplifycznie przedstawia większość polskiej prasy, t. j. wyłącznie w tym, że pożyczka uchwalona została jednogłośnie, przez akklamację, i że odbyło się to w atmosferze ciepłych a kordialnych sentymentów polsko-francuskich. Boć przecież nie do pomyślenia dzisiaj byłaby ewentualność czyjegóż wotowania „przeciw” pożyczce, mającej na celu dobrojenie państwa. Jeśli zaś chodzi o drugą, protokularno-emocjonalną stronę sprawy, wiadomo, iż mało kto w świecie tak

gruntownie nie odróżnia potrzeby okazania grzeczności od skwapliwej potrzeby wylewności uczuć, jak Polacy. Sens faktu, skoro mowa o Sejmie, leży w tym, że sprawa pożyczki francuskiej, zanim stała się ciałem ustawy, przeszła przez ogień tym razem naprawdę wyjętej i rzetelnej pracy komisyjnej, gdzie pod sumienny skalpel brano wszystkie „pro” i wszystkie „contra” tego największego z zobowiązań finansowych, jakie Polska kiedykolwiek zaciągała. Wiadomo, że bez zastrzeżeń uznając potrzebę i celowość takiego kroku, nie wahano się w Komisjach otwarcie i jasno, z męską odwagą poruszać przede wszystkim praktyczną stronę sprawy, związaną z użytkowaniem i obsługą pożyczki. Oddajmy sprawiedliwość: — Sejm w tym wypadku wykazał się pozytywnym zrozumieniem zadania.

Prasa, podkreślając w swych sprawozdaniach akurat tylko dwa zewnętrzne momenty t. j. jednogłośnieść uchwały i towarzyszącą jej wymianę manifestacji uczuć polsko-francuskich, wyrządziła Sejmowi niewątpliwą krzywdę. Ale o to niechże pp. posłowie nie mają pretensji do nikogo, jak tylko do samych siebie. Przyzwyczajali dziennikarzy do mniemania, że istota działalności obecnego Sejmu tkwi właśnie tylko we wszelkiego rodzaju zewnętrznych efektach i manifestowaniu coram publico osobistych nastrojów, uczuć, filozoficznych mędrkowań i innych indywidualnych wyskoków.

*Quod erat demonstrandum — ad oculos.* (144).

## NOWE KSIĄŻKI

Literaturę polską cechują okresy „modnych tematów”, zmieniających się co pewien czas diametralnie. W aktualnej rzeczywistości do najmodniejszych chyba należą egzotyzm, psychologizm i homoseksualizm. Te trzy też „problemy” spotykamy w książkach, które omówić dziś chcemy na tym miejscu.

Zbigniew Uniłowski, historyczny piewca „Wspólnego pokoju” i „Dnia rekruta” wydał pamiętnik z podróży brazylijskiej „Żyto w dżungli” (Wyd. Przeworskiego w Warszawie). Treścią tej książki jest kilkotygodniowa włóczęga autora po koloniach emigrantów polskich w Paranie. Mimo odstręczającej pozy Uniłowskiego, znużonego wszystkim, co widział w swej podróży, „Żyto w dżungli” zasługuje na baczność uwagę. Chodzi mianowicie o zdanie sobie sprawy w jakich warunkach psychicznych, w jakiej atmosferze moralnej żyje polski chłop w Brazylii. To, co Uniłowski zobaczył w Paranie przechodzi wszystkie nasze, choćby najbardziej pesymistyczne, oczekiwania. Korupcja wśród kleru i nauczycielstwa, niesłychana demagogia działaczy społecznych i narodowych, przeniesienie za ocean wszystkich cuchnących rodzimym błotkiem „spraw” i „problemów” — oto najważniejsze i najsmutniejsze zarazem z obserwacji autora. Ze w tych warunkach emigrant polski nie załamuje się i zdobywa na przepędzenie z kolonii po niektórego księdza czy „działacza” — to chyba najlepiej świadczy o wartości moralnej naszego chłopca i jego dyspozycjach psychicznych.

Książka Uniłowskiego bez wątpienia traci dużo na tym, że autorem jej jest właśnie Uniłowski. Niemniej odrzuciwszy z „Żyta w dżungli” całe psychologizowanie Uniłowskiego, całą pozę pięknoducha wśród ludożerców — należało by tą książką zainteresować szerokie masy oraz... Min. Spraw Zagranicznych. Lektura bowiem „Żyta w dżungli” bardzo przydała by się konsulom i urzędnikom polskim na placówkach brazylijskich. Może po sumiennym przeczytaniu tej książki znalazła by się jakaś silna ręka na setki księży Kiełtów, nauczycieli Janickich i „działaczy” Grzeszczyszynów, grasujących nagminnie wśród naszej emigracji w ogóle, a emigracji zamorskiej w szczególności.

Jarosław Iwaszkiewicz, pisarz sumienny i stylistą wspaniałą, wydał dwa większe opowiadania p. t.:

„Młyn nad Utratą” (Nakł. Gebethnera i Wolffa). Oprócz opowiadania tytułowego, do tomu tego wchodzi nowela „Nauczyciel”, drukowana uprzednio w „Skamandrze”.

„Nauczyciel” — to subtelnie i z wielką kulturą literacką przedstawiony problem chorobliwego rozbudzenia erotycznego dwóch chłopców, spowodowanego zetknięciem się z wychowawcą-pederastą. „Młyn nad Utratą” zaś przedstawia tragedię zetknięcia się czystej, wysublimowanej religii z miłością fizyczną w jej najbardziej zmysłowym aspekcie. Oba opowiadania pod względem formalnym sięgają szczytów współczesnej naszej prozy. Szkoda jednak, że Iwaszkiewicz, pisarz o ogromnym talencie i nieograniczonych możliwościach twórczych, znów przerzucił się na twórczość li tylko „pro arte”. Po „Czerwonych tarczach” — pierwszej we współczesnej naszej prozie próbie artystycznego przedstawienia genezy polskiej myśli państwowej, politycznej — spodziewaliśmy się po Iwaszkiewiczu znacznie więcej, niż znajdujemy ostatnio w jego twórczości. Pisarz, który może tworzyć surowy mit współczesności, nie ma prawa pisać dla siebie i szczupłej garstki przyjaciół. A przecież Iwaszkiewicz jest wielkim pisarzem...

Trzy tomy wierszy: „Treść gorejąca” Juliana Tuwima, „Napój cienisty” Bolesława Leśmiana i „Barwa miodu” Leopolda Staffa (Wszystkie nakładem Mortkowicza) zasługują na baczniejszą uwagę. Nie czas i miejsce tu na dokładne omówienie krytyczne tych ciekawych pozycji wydawniczych i ich miejsca we współczesnej poezji polskiej. Chodzi nam jednak o zwrócenie uwagi na wspólną cechę wymienionych trzech tomów znakomitych poetów. Tą cechą jest zupełne przetrzucenie się z tematyki na zagadnienia formalne. Zapewne, każda z omawianych publikacji, stanowiąc by mogła poważną pozycję w poezji jakiegoś narodu europejskiego, nie mniej żyjemy w czasach kiedy treść wysuwa się zdecydowanie przed formę. Dla tego żałujemy, że „Wiersze o państwie” tak mało zajmują stron w „Treści gorejącej” i że nie są naprawdę... wierszami o państwie. Do tematu tego powrócimy jednak przy innej okazji. (135).

# NAUKA NA USŁUGACH PAŃSTWA

## I. OKRES PRZEDWOJENNY

W miarę postępu techniki zacierają się ostre granice między badaniem naukowym a procesem rodzenia się ulepszeń i wynalazków, co więcej metody i charakter pracy w tych dwu pionierskich kierunkach kultury materialnej stają się do siebie bliźniaczo podobne.

Obecnie trudno jest określić, gdzie kończy się nauka, a zaczyna technika.

Historia rozwoju techniki w państwach, stojących dziś na wysokim poziomie uprzemysłowienia i użytkujących najnowsze zdobycze wiedzy, przeszedł przez dwa charakterystyczne etapy: etapem pierwszym jest ewolucyjny rozwój przedwojenny; etap drugi wybitnie rewolucyjny — to okres wojny, trwający, według nas, do chwili obecnej. W artykule niniejszym zajmujemy się historią okresu pierwszego.

Przenikanie badań naukowych do zagadnień gospodarczych, pojętych w najszerszym tego słowa znaczeniu, rozpoczyna się na serio i planowo dopiero w 10-tych latach XIX wieku. Zjawisko to najwcześniej spotykamy w Niemczech. W innych państwach uprzemysłowionych, jak Anglia, Francja, Stany Zjednoczone, na skutek specyficznego stosunku uczonych do badań naukowych typu „sztuka dla sztuki” i olbrzymich zasobów materialnych tych kolosów, użytkowanie nauki następuje z wielkim opóźnieniem.

W Niemczech do 70-ych lat ubiegłego stulecia badania naukowe były monopolem uniwersytetów. Surowego materiału do badań, choć o niskiej wadze gatunkowej, dostarczały instytuty pomocnicze, jak archiwa, muzea, laboratoria, obserwatoria etc. zreformowane przez Humboldta w początkach XIX wieku.

Praca badawcza profesorów była nierozdzielnie wiązana z pracą pedagogiczną w myśl niczym nieuzasadnionej i z gruntu błędnej zasady *docendo discimus et experando docemur*. Zdolności pedagogicznych nie brano pod uwagę, a o sławie profesora stanowił jego dorobek naukowy. Wytwarzał się skutek tego absurdalny stan: utalentowani wykładowcy bez zdolności i skłonności badawczych byli zmuszeni udawać, że coś robią dla nauki i odwrotnie: zdolni i zamiłowani badacze, a mierni pedagodzy marnowali czas i talenty na nauczanie kadr urzędniczych i wolnych zawodów (co dotąd obserwujemy w Polsce).

Uniwersytety angielskie i francuskie nosiły na sobie to samo piętno, jednakże w krajach tych kładziono większy nacisk na wychowanie przyszłych panów w dominiach.

Uniwersytety angielskie do końca XIX wieku nie posiadają laboratoriów. Badawczą pracą zajmują się najczęściej ludzie bogaci. Im zawdzięczamy szereg odkryć naukowych, dokonanych w prywatnych pracowniach kosztem badacza. Przykładem tego może służyć historia rozwoju nauk przyrodniczych: Darwin, J. Joule, lord Reyley, Stocks, lord Kalwin, Maxwell, Thomson i wielu mniej sławnych.

W omawianym okresie panuje głęboko zakorzeniony pogląd, że praca badawcza winna być całkowicie oderwana od przemysłu i że zajmowanie się zagadnieniami przemysłu jest niegodne uczonych. Śmiało kowie z reguły przekreślali swoją oficjalną karierę naukową.

I tak mniej więcej do połowy XIX w. przemysł stosuje jedynie teoretyczne zdobycze matematyki i mechaniki, rozwijając się na podstawie chaotycznych, bezplanowych eksperymentów. Użytkowanie chemii i niektórych działów fizyki uniemożli-

wiało ówczesna problematyka i metoda pracy w tych dziedzinach.

Chałupniczy charakter pracy uczonych, posługujących się przeważnie przez siebie wykonanymi przyrządami, powodował rozciąganie się badań na dziesiątki lat.

Nauka wskutek opóźnionych publikacji i bardzo rzadkich kongresów rozwija się niezwykle wolno w ciszy pracowni i bibliotek.

Rozwój przemysłu niemieckiego oparty na systematycznych badaniach datuje się od wojny franko-pruskiej (1870 r.).

Szczególnie odnosi się to do nowych gałęzi przemysłu: elektrotechnicznego i chemicznego. Powstające laboratoria państwowe, poza uniwersyteckie, a nawet społeczne instytuty badawcze stają się ośrodkami wiążącymi zdobycze naukowe z wymogami nowej techniki wielkiego przemysłu. Przy zakładach przemysłowych różnych branż powstają pracownie początkowo z zakresem prac wybitnie utylitarnym, z biegiem jednak czasu prace te nabierają charakteru teoretycznego.

W ten sposób w Elberfeld stworzono z inicjatywy dr. Kocha Laboratorium Chemoterapii, w Höcht Stację Doświadczalną Badań nad Siarką. W końcu XIX w. powstaje Laboratorium Fizyko-Chemiczne, Laboratorium Fizjologiczne i Laboratorium Medyczne.

Niżej przytaczamy kilka danych liczbowych, które wskazują, iż w Niemczech nie oszczędzono środków pieniężnych na finansowanie prac badawczych. Jest to dominująca cecha, obliczonej na długą falę, planowej polityki przemysłowej w typie nowoczesnym.

W 1890 r. w jednej z fabryk na 3.000 robotników pracowało 70 dyplomowanych chemików.

Zakłady farbiarskie zatrudniały 500 chemików. W sławnych zakładach J. G. Farbenindustrie, liczba fizyków z 24 w roku 1909, wzrosła w 1928 do 70.

W Ludwigshafen na 562 specjalistów pracowało 244 chemików.

W Elberfeld na 1.004 specjalistów pracowało 304 chemików.

Badania nad syntezą indyga, które wymagały pracowni szeregu trudnych procesów przejściowych, trwały 7 lat kosztem 22,5 miliona franków.

Ścisła współpraca uczonych z przemysłem przyczynia się do jakościowego i ilościowego podniesienia produkcji, a tym samym do zdobycia zagranicznych rynków

zbytu. (Fakt który wywołał znaną panikę w sferach gospodarczych Anglii i spowodował stworzenie specjalnej komisji ekonomistów do zbadania przyczyn niezrozumialej w swej gwałtowności ekspansji handlowej Niemiec).

Gospodarka państwowa nie mogła czekać na powolne rozwiązywanie aktualnych zagadnień przemysłowych przez przeciętnych pracą pedagogiczną (na skutek wzrostu liczby studentów) profesorów, to też pod naciskiem Sztabu Generalnego stworzony zostaje Państwowy Instytut Fizyko-Techniczny w Scharlottenburgu pod kierownictwem sławnego Helmholtza oraz Państwowy Instytut Nauk Ścisłych i Teoretycznej Mechaniki.

Stacja Doświadczalna Przemysłu Konserw (1900) pracuje w zakresie bakteriologii, fizjologii i rozporządza fabryką doświadczalną (aprowizacja).

Instytut Elektrotechniczny (1901) pracuje nad ulepszeniem techniki przemysłu kablowego (służba łączności).

Związek fabryk lakierów organizuje Badawczy Instytut Lakierów (1904), którego prace ukazują się w publikacjach periodycznych.

Jednocześnie powstają Instytuty:

Przemysłu Cukrowniczego, Melioracyjny, Biologiczny, Gospodarstwa Wiejskiego i Leśnego, Pszczelarski, Higieny Przemysłowej, Psychologii Stosowanej, Morskich i Podwrotnikowych Chorób — „Seewarte” w Hamburgu (potrzeby polityki kolonialnej).

Równoległe z rozwojem nowszych gałęzi przemysłu obserwuje się przenikanie badań naukowych do przemysłu ciężkiego. Jeszcze przed wojną światową tworzą się drobne pracownie na terenie poszczególnych zakładów, w zakresie prac których leży badanie surowców i metod produkcji.

W Berlinie (1891) powstał Instytut Chemiczny Badawczy — zakres: chemia nieorganiczna i technologia; Instytut wydaje szereg czasopism.

Przegląd gospodarczego rozwoju Niemiec przed 1914 r. zakończmy słowami jednego z niemieckich uczonych skierowanymi do cesarza na otwarciu Instytutu Wilhelma: „Siła zbrojna i nauka zawsze były filarami niemieckiej potęgi”. Interpretacja tych ważkich słów na tle wyżej rzuconego szkicu jest zbędna — fakty pozostaną faktami.

Anglia i Francja znacznie opóźniły się w rozwoju przemysłowym w porównaniu z Niemcami. Ingerencję metod naukowych obserwuje się w okresie przedwojennym w Anglii prawie wyłącznie w przemyśle chemicznym, jednak na małą skalę, we Francji zaś w przemyśle wojennym i niektórych zakładach budowy maszyn. Dopiero w 1902 r. powstaje w Anglii Narodowe Laboratorium Fizyczne, łamiące tradycyjną sprężniałą bariery między czystą a stosowaną nauką. Cel wyłącznie badawczy.

Jedną z komórek Laboratorium jest pierwszy w świecie Urząd Wagi i Miar, do którego kompetencji należało badanie surowców i wielkości fizycznych. Instytut publikuje wykonane prace, wyłączając badania z zakresu wojskowego.

We Francji widzimy jeszcze większą przepaść między nauką a przemysłem. Jedynym ośrodkiem nauk stosowanych do wojny światowej jest Centralny Instytut Elektrotechniczny i Instytut Pasteur'a. College de France wprawdzie skupia wybitnych uczonych, lecz ci, niekępowani żadnymi programami, uprawiają „czystą” naukę.

## Wydawnictwa nadesłane

„Przegląd Ekonomiczny”, tom XVI, Lwów 1936. Wydawnictwa Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego we Lwowie.

„Gospodarka Narodowa”, dwutygodnik Nr. 1—2, 1937 r.

Janusz Ignaszewski: „W obliczu zasadniczych przeobrażeń”, Katowice 1936 r.

Roman Horoszkiewicz: „Na ziemiach wschodniego pogranicza”, Warszawa 1937, Biblioteczka Zolnierza K. O. P.

Roman Horoszkiewicz: „Tradycje ziemi pińskiej”, Warszawa 1935, Główna Księgarnia Wojskowa.

Roman Horoszkiewicz: „Szlachta zaściankowa na ziemiach wschodnich”, Warszawa 1936, P. T. T. K. w Pińsku.

Prof. Dr. T. Janiszewski: „Polska idea państwa a polityka populacyjna”.

Prof. Dr. T. Janiszewski: „O potrzebie reaktywowania Ministerstwa Zdrowia”.

Prof. Dr. T. Janiszewski: „Pojęcie idei państwowej ze stanowiska higieny społecznej”.

Niedocenywanie podstaw, na których się budowały prężność zaborcza i dynamizm państwowy przedwojennych Niemiec, odpokutowały państwa koalicyjne niespodziewanie długotrwałą wojną i koniecznością improwizacji w zakresie unaukowania gospodarki wojennej; improwizacji trudnej, a jakże wspaniałej w swym rozpędzie twórczym i bogatej w konsekwencje.

W Stanach Zjednoczonych pionierski trud zaszczerpienia prac badawczych przemysłowi przypada w udziale jak i w Niemczech, przemysłowi chemicznemu i elektro-

technicznemu. Starsze gałęzie przemysłu okazały się bardziej konserwatywne.

Wskutek licznych wojen, jakie w XIX stuleciu prowadziły Stany Zjednoczone, rozwinęła się tu wspaniale produkcja materiałów wybuchowych, która zawdzięcza swój, nieosiągnięty wówczas przez żadne państwo europejskie, poziom uprzednio przeprowadzonym żmudnym badaniom naukowym.

Obok laboratoriów, istniejących w łonie samych zakładów powstaje ważna dla przemysłu placówka — Biuro Norm (1901 r.)

które odznacza się wysokim poziomem naukowym. Nadto stworzono szereg samodzielnych prywatnych i półpaństwowych instytucji badawczych wbrew opozycji profesorów uniwersyteckich, którzy widzieli w nowopowstających placówkach swych konkurentów.

Bezprzykładny w dziejach świata, żywiołowy niemal wybuch twórczości naukowej, wywołany rosnącymi potrzebami państw — aktorów Wielkiej Wojny, będzie tematem dalszych artykułów rozpoczętego cyklu.

(706)

## ZAGADNIENIE WYCHOWANIA NARODU W III RZESZY

Współczesne Niemcy są państwem, w którym światopogląd narodowo-socjalistyczny całkowicie wyczerpuje treść życia państwowego, są zatem państwem narodowo-socjalistycznym. Wyłączną polityczną organizacją narodu niemieckiego jest partia NSDAP (national-socialistische Deutsche Arbeiterpartei).

Nie przeciwstawić, a tylko odróżnić od siebie należy zadania jakie spełnia państwo jako takie i NSDAP jako wyłączna organizacja narodu niemieckiego i depozytariuszka światopoglądu narodowo-społecznego.

Zadaniem państwa jest załatwianie i prowadzenie spraw związanych z organizmem państwowym w ramach obowiązujących praw i ustaw.

Zadaniem NSDAP jest natomiast:

1) wytworzenie celowej organizacji partyjnej przede wszystkim dla stałego pielęgnowania i podtrzymywania narodowo-socjalistycznej nauki;

2) wychowanie całego narodu niemieckiego w duchu ideologii narodowo-socjalistycznej i oddanie wychowanych jednostek do dyspozycji państwa, do jego prowadzenia;

3) NSDAP jako polityczny wyraz narodu niemieckiego i jako depozytariuszka światopoglądu n.s. daje narodowi, a tym samym i państwu, wodza, który jednocześnie jest wodzem partii, głową państwa i naczelnym wodzem sił zbrojnych.

W tym duchu przeprowadził różnice zadań państwa i partii Führer Adolf Hitler w swym przemówieniu, wygłoszonym w Norymberdze w dniu 16 września 1935 r.

Uprzytomnić sobie również należy, że NSDAP składa się z kilku zasadniczych członów, które dopiero razem wzięte czerpują pojęcie całości NSDAP. Członami tymi są: polityczna organizacja (P. O.), oddziały szturmowe (S. A.), oddziały ochrony (S. S.), korpus zmotoryzowanych sił n. s. (N. S. K. K.), a każdy z tych członów ma swą historię powstania, rozwoju, walk ideowych i wzrostu swego znaczenia.

Zagadnienie wychowania całego narodu niemieckiego w duchu ideologii n. s., które jest czołowym obowiązkiem partii, inaczej przedstawia się w okresie przed objęciem władzy w państwie przez NSDAP, t. j. przed dniem 30 stycznia 1933 r. — a wręcz odmiennie po tym dniu.

W pierwszym okresie, który jest okresem walki NSDAP o władzę w państwie i o zwycięstwo światopoglądu n. s., walki prowadzonej wytrwale, nieugiętej i systematycznie — nie miała partia ani możliwości, ani faktycznej sposobności wykonania swego ideowego zadania wychowania całego narodu w światopoglądzie n. s. W tym okresie partia ujmuje swój ideowy obowiązek wąsko, ograniczając go wyłącznie do kręgu swych członków i członków partyjnych przybudówek. W ograniczonym kręgu swych członków i sympatyków stosowała partia metodę szkolenia („Schulung“) dla doszkolenia ich w taktyce działań par-

tyjnych i w dziedzinie światopoglądu n. s. nie kusząc się jednak o ich wychowanie. Przez szkolenie dążyła partia do przygotowania swych działaczy do wykonania częściowych tylko zadań, względnie do prac w pewnych określonych kierunkach wyjętych z całości zagadnień objętych światopoglądem n. s. Budowa urzędów szkoleniowych datująca się z tego okresu, jest różnorodna, każdy bowiem członek partii (P. O., S. A., S. S., N. S. K. K.) prowadzi nieprzerwaną pracę szkoleniową na różnych szczeblach organizacyjnych. Są to od najniższych stopni organizacyjnych poczynając i ku najwyższym zdążając: obwodowe, powiatowe, dzielnicowe i ogólnopaństwowe szkoły przywódców (Kreis-, Bezirks-, Gau-, i Reichsführerschulen) o różnych typach i programach szkolenia. Obok powyższych istnieją także szczególne urzędy szkoleniowe jak: *Schulungslagern* i *N. S. Erziehungsanstalten*. Tego samego rodzaju budowa urzędów szkoleniowych istnieje i dla organizacji młodzieżowych męskich i żeńskich, są to *Hitlerjugend Führerschulen*.

Jako przykład rozpracowania tego zagadnienia niech posłuży szkoła w Lünen, mieszcząca się w pałacu ofiarowanym przez zarząd miasta Lünen, w której na kursach 6-cio tygodniowych szkoli się przeciętnie, licząc około 1000 przodowników Hitlerjugend rocznie, a gdy cyfrę tę pomnożymy przez ilość szkół o tym samym typie, których jest podobno 100, otrzymamy imponującą cyfrę 100.000 przeszkolonych Führerów różnych stopni organizacyjnych rocznie.

Wręcz odmiennie przedstawia się natomiast urzeczywistnienie obowiązku wychowania całego narodu niemieckiego w duchu ideologii n. s. w drugim okresie, tj. po objęciu przez NSDAP władzy w państwie. Nie porzucając, ani nawet nie zaniehbując dotychczas praktykowanej metody szkolenia w ramach poszczególnych członów partii i w organizacjach młodzieżowych, Führer dąży do urzeczywistnienia wychowania obywateli w światopoglądzie n. s. drogą szczególnego wychowania przodowników politycznych narodu niemieckiego w stworzonych przez siebie *Ordensburgach*.

Myśl utworzenia Ordensburgów pochodzi od Adolfa Hitlera, powstanie jej łączy się z przełomem roku 1932/33, a realizację tej myśli zlecił Hitler swemu współpracownikowi dr. Leyowi, zajmującemu wybitne stanowisko w NSDAP. W latach pomiędzy 1933 a 1936 następuje budowa trzech Ordensburgów, a to:

- 1) Die Ordensburg Crösensee, bei Falkenberg, na Pomorzu,
- 2) Die Ordensburg Vogelsang, Nadrenia,
- 3) Die Ordensburg Sonthofen Bawaria.

Dnia 1 maja 1937 — a więc już wkrótce — Burgi rozpoczną swą pracę.

Ujawnienie projektu utworzenia Ordensburgów wywołało duży odgłos tak wewnątrz partii, jak i w prasie krajowej i za-

granicznej. Przypuszczano bowiem, że Ordensburg jest szkołą dla jednego tylko członka partii, a mianowicie politycznej organizacji partyjnej (P. O.), i że inne człony partii nie będą mogły korzystać z działalności wychowawczej tego poszczególnego urzędu rządzenia wychowawczego. Nieporozumienie przyjęło tego rodzaju rozmiary, że skłoniło to dra Leya do udzielenia wyjaśnień w ramach partii w dniu 17 lipca 1936 r., w toku którego dr. Ley oświadczył, w formie zasadniczego stwierdzenia, że nie zna on w partii żadnych obok siebie stojących sił, że partia jest organizmem służącym do wychowania narodu niemieckiego i przeprowadzenia politycznych i światopoglądowych ideałów swego wodza, że zatem całe wychowanie służyć musi wyłącznie polityce, a wszyscy kierownicy i wszystkie człony partii są tylko instrumentem politycznego kierownictwa.

To zasadnicze stwierdzenie dra Leya jest najzupełniej logicznym wnioskiem, wyciągniętym z nauki narodowo-socjalistycznej, wedle której naród jest tworem Stwórcy, gdyż narodu nie mógł i w rzeczywistości też nie stworzył człowiek. Polityczne prowadzenie narodu, rządzenie nim jest niczym innym, jak wykonywaniem woli Stwórcy, a przodownik polityczny mający wrodzone uzdolnienie polityczne, jest przez samego Stwórcę wyznaczony do wykonywania Jego woli wśród narodu. Godność przodownika politycznego w świetle światopoglądu narodowo-socjalistycznego ma w sobie coś z kapłaństwa politycznego wśród narodu.

Widzi to zresztą jasno sam dr. Ley skoro uważa za stosowne stwierdzić: „unsere Ordensburgen sind keine Klöster und unsere Männer sollen keine Theologen, und sollen keine Mönche werden, ich will Männer zu weltanschaulich eindeutigen klar fundierten Nationalsozialisten erziehen“.

„Ja nie chcę w żadnym wypadku tworzyć nowego stanu kapłańskiego — mówi dalej dr. Ley — moim ideałem jest bowiem polityczny żołnierz“, któryby jednoczył w sobie pojęcia: „Prediger und Soldat“.

Ideał wychowawczy Ordensburgu, wyjaśniony przez dra Leya można skreślić w zdaniu, że Ordensburg dąży do wychowania rasowo-czystego żołnierza politycznego, o pełni uświadomienia narodowo-socjalistycznego, który naród niemiecki przez Stwórcę stworzony po dalszej drodze dziejowych przeznaczeń poprowadzi.

Nazwę Ordensburg trudno jest spolszczyć, dziennikarz francuski tłumaczy ją jako „une école des chefs“. W każdym razie pojęcia słowa Burg nie należy wiązać z pojęciem jakiegoś średniowiecznego zamczyska, choćby dlatego, że wszystkie powyższe Burgi są całkowicie nowymi budowlami, a raczej słuszniej wiązać by je można było ze słowem „bergen“ co oznacza chować lub ukrywać.

Ordensburg Crösensee obejmuje areał 150 morgów i położony jest w odległości około 2 klm. pod miasteczkiem Falkenberg na Pomorzu. Centralnym miejscem szkoły jest

t. zw. Ehrenhalle. Jest to budynek prostokątny, długości około 100 m., przy czym ściany zastąpione są kolumnami, a dach kryty sitowiem, na kolumnach umieszczone są znicze, a każda z tych kolumn poświęcona jest wspomnieniu poległego w walce o zwycięstwo światopoglądu n. s. Po prawej stronie tego budynku znajduje się t. zw. „Schulungshalle“, po lewej zaś „Turnhalle“. Te trzy budynki mają swoją mistyczną wymowę. „Die Ehrenhalle, przedstawia „die Seele“, pojętą jako „Rassenseele“. To świę-

tość przelanej krwi niemieckiej, która w rozumieniu światopoglądu n. s. jest najwyższą świętością narodu. „Die Schulungshalle“, to „der Geist“, duch narodu, to świętowania poświęcona cnotom moralnym narodu niemieckiego. „Die Turnhalle“, to „der Leib“, pojęty jako „Kraft“, to siła fizyczna narodu i jego zdrowie. Wzorowo urządzone sypialnie, jadalnie, biblioteki i stadiony — dopełniają całości.

W numerze następnym przedstawimy organizację Ordensburgów. (88).

## PALCEM PO MAPIE

Staropolskie przysłowie, głoszące, że „wszystkie drogi prowadzą do Rzymu“ można dziś śmiało odwrócić. W ubiegłym tygodniu, bardziej, niż kiedykolwiek, można było dostrzec całkiem nie uzbrojonym okiem, że „wszystkie drogi prowadzą... z Rzymu“.

Właśnie dla nas, „ponumerowanych“ publicystów, fakt ten nie stanowi żadnej niespodzianki. Nie jesteśmy bynajmniej zaskoczeni, że Włochy, owo najmniejsze i najuboższe z pośród wielkich mocarstw zaczyna odgrywać pierwszorzędną rolę w Europie, a nawet zupełnie wyraźnie w szeregu wypadków dyktuje swą wolę potęgom o wiele starszym, liczebniejszym i zasobniejszym.

Klucz do rozwiązania tej pozornej zagadki mieści się po prostu w fakcie, że Włochy przystąpiły do konsekwentnej realizacji drobiazgowo przemyślanego planu państwowego, jako pierwsze mocarstwo w świecie. Nie należy zapominać, że ów plan realizuje się tam od roku 1924, podczas gdy nawet Sowiety wkroczyły na drogę gospodarki planowej dopiero w roku 1928, Niemcy w roku 1933, zaś w pozostałych państwach świata panuje klasyczne liberalne gospodarowanie, z wyjątkiem może bardzo ostrożnych posunięć prezydenta Roosevelta w Stanach Zjednoczonych.

Przykład Włoch, z polskiego punktu widzenia, z punktu widzenia kraju, będącego mocarstwem in statu nascendi, należy uznać za wysoce pocieszający. Mussolini, przystępując do realizacji planu państwowego natychmiast po zwycięstwie rewolucji faszystowskiej rozporządzał na dobrą sprawę bardzo lichym materiałem ludzkim, jeśli chodzi o olbrzymią większość ówczesnego społeczeństwa włoskiego i bardzo szczupłą kadrą swych wiernych kombatantów.

Duch żołnierski i stan moralny naszego społeczeństwa stwarza porównawczo o wiele dogodniejsze warunki startu, który oby kiedyś wreszcie nastąpił, póki jeszcze nie jest zapóźno.

Na przeszkodzie do owego startu ku prawdziwej mocarstwowości stoi właściwie tylko rozpaczliwy chaos w polskich umysłach, a osobliwie wśród ludzi, którzy wciąż nie chcą zrozumieć, iż nie sposób jest hodować oazy „praw człowieka i obywatela“ sąsiadując aż z dwoma „faszyzmami“: brunatnym i czerwonym oraz, że absurdem jest upieranie się przy liberalno-kapitalistycznym ustroju gospodarczym w kraju, który primo pozbawiony jest kapitału, a secundo sąsiaduje z państwami prowadzącymi, jedno od 9, zaś drugie od 4 lat klasyczną gospodarkę wojenną.

Narazie wszakże wszystkie drogi prowadzą z Rzymu, a nie z Warszawy. To też z Rzymu musimy rozpocząć naszą tygodniową wędrówkę „palcem po mapie“.

Wizyta premiera Goeringa we Włoszech stanowi bezspornie najważniejsze wydarzenie ubiegłego tygodnia z dziedziny polityki międzynarodowej.

Szczegóły rozmów wielkiego łowczego Trzeciej Rzeszy z il Duce wyjdą na jaw dopiero po jakimś czasie, ale już dzisiaj zdaje się nie ulegać wątpliwości, że „oś polityczna“ pomiędzy Rzymem a Berlinem bynajmniej nie została nadwyrężona na skutek włosko-angielskiego układu śródziemnomorskiego.

Co do szerszych planów, to zarówno wynurzenia „National Zeitung“, jak wywiad, udzielony przez Mussoliniego korespondentowi „Völkischer Beobachter“ należy uważać za typowe „balony próbne“.

Mimo to, widmo „paktu czterech“ ponownie zamajaczyło na horyzoncie skolataniej Europy. Kilka lat temu partia brydża w składzie „wielkiej czwórki“ nie doszła do skutku z powodu energicznej „kontry“ ze strony polskiego „kibica“.

Od tego czasu „kibic“ zyskał szereg nowych atutów i wedle naszego skromnego zdania, gra w czwórkę jest zgóry wykluczona, natomiast nie jest pewne, czy zasady naszej polityki zagranicznej pozwolą nam usiąść do stołu, w charakterze piątego gracza. Tym razem będziemy zaproszeni, zaś wedle angielskich doniesień, w Białowieży szykują się ponoć na połowę lutego wielkie ływy z udziałem wspomnianego wielkiego łowczego.

Niezależnie od tych rozgrywek, które zmusiły nas do włączenia w ramy niniejszej rubryki „Zaczynu“ swoistego „kącika brydżowego“, wypada przyznać rację optymistycznym wynurzeniom Mussoliniego wobec niemieckiego dziennikarza, że powstaje jakiś „zaczątek procesu konsolidacyjnego w Europie“.

Świadczy o tym zarówno misja p. Georges Bonnet'a, mianowanego ostatnio nadzwyczajnym amba-

sadorem Francji w Waszyngtonie, jak i liczne głosy francuskie, nawołujące do ułożenia modus vivendi z Niemcami, przede wszystkim na płaszczyźnie gospodarczej.

Również pewne odprężenie zaznaczyło się w ubiegłym tygodniu dokoła spraw hiszpańskich. Historia marokańska okazała się, całkiem zresztą zgodnie z naszymi przewidywaniami „antyfaszystowskim dentolem“. Jeśli chodzi o drażliwą sprawę tak zwanych „ochotników“, to i tu mamy do odnotowania pierwsze zarysy jakiegoś wspólnego europejskiego frontu, które wcale dobitnie uwypuklają się na tle odmownej odpowiedzi komisarza Litwinowa na inicjatywę francusko-angielską.

Odpowiedź ta była, jak się zdaje, podyktowana nie tylko chęcią utrzymania pirenejskiego placu d'armes'u, ale również rozwojem sytuacji wewnętrznej w przybranej ojczyźnie sowieckiego komisarza spraw zagranicznych.

Kraj ten, będący przykładem wadliwej realizacji planu państwowego, przeżywa obecnie ciężkie chwile w związku z przestawianiem zwrotnic na torry ogólnoludzkie.

Nawrót od ideologii międzynarodowo-rewolucyjnej, początkowo do „patriotyzmu państwowego“, a ostatnio wręcz do „istotno ruskiego“ nacjonalizmu jest w tamtejszych warunkach równoznaczny z bardzo ciężkim kryzysem wewnętrzno-politycznym.

Na powyższym tle tragedia, przeżywana obecnie przez lewicę komunistyczną oraz stracenie jej czołowych przywódców stanowią bardzo wymowną, bo pogładową naukę, że... nie wolno jest być socjalistami we własnym kraju, nawet gdy ów kraj nosi całkiem oficjalnie nazwę „socjalistycznego“.

Z chwilą wkroczenia Sowieców na drogę tradycyjnej rosyjskiej racji stanu, która nie ulega zmianie na skutek zmiany ustroju, z chwilą przystąpienia do realizacji planu państwowego — wadliwe teorie i ich reprezentanci nie mogli się uchronić przed „przymusową likwidacją“, skoro teorie te wypaczały dotychczasowe wykonanie planu państwowego. (66)

## GŁOSY I ODGŁOSY

### CHLEB SMAROWANY ARMATAMI

W całej prasie światowej pojawiają się wiadomości o ciężkiej sytuacji wewnętrznej Niemiec. Wiadomości te ostatnio przybierają na sile; mówi się o ciężkim kryzysie ekonomicznym, o braku masła, o gonieniu resztkami sił, o bliskim już bankructwie spowodowanym załamaniem się ustroju wobec piętrzących się trudności gospodarczych. A z tym rozlega się stale pewny siebie głos niemiecki. Czy ta pewność siebie jest ostatnim atutem w rękę zbankrutowanego gracza, czy też ma jakieś głębsze uzasadnienie w psychice niemieckiej? Na to pytanie stara się odpowiedzieć p. R. Dubard w reportażu z III-ej Rzeszy, umieszczonym w tygodniku *Marianne*.

Potwierdza on na wstępie ciężką sytuację Niemiec. Od 1923 roku Bank Państwa ma minimalne rezerwy złota. Wahają się one od 2 do 1% obiegu pieniężnego (a jednak dzisiaj marka jest warta 8 franków francuskich). Niemcy wydają co rok miliardy na zbrojenia i na wielkie roboty. Mają co najmniej sześćset do siedmuset tysięcy żołnierzy pod bronią. „Rozrzutność“ powiedzą mądrzy ekonomiści. Rozrzutność niewątpliwie. Ale zawiera się znowu tranzakcje, wpływy z podatków są większe o miliard marek niż w zeszłym roku, ilość upadłości zmniejszyła się o 40%.

Gdzie rząd niemiecki znajduje pieniądze by utrzymać stopę życiową na jaką najbogatsze państwa z trudem tylko by mogły sobie pozwolić? Jest to tajemnica, której nie umieją rozwiązać najtępsi finansjści. Mówią o pożyczce wewnętrznej, sięgającej dwudziestu miliardów marek, inni opowiadają o trzydziestu miliardach, wszyscy twierdzą, że mamy do czynienia z ukrytą inflacją, która w każdej chwili może się skończyć katastrofą.

Może mają rację. Ale katastrofa wielokrotnie zapowiadana ciągle nie nadchodzi. Maszyna się kręci. Interesy nie prosperują gorzej niż gdzieindziej. Buduje się, wykreśla się olbrzymią sieć autostrad, organizuje Igrzyska Olimpijskie o jakich w Ameryce nie myślano. Przeciwno wszystkim regułom ekono-

micznym. Teoretycznie nie może się to tak trzymać. A jednak fakty stwierdzają istotny stan rzeczy. P. Dubard nie chce wyciągać dowolnych wniosków, ale zastanawia się czy profesorowie ekonomii politycznej nie wprowadzili Francuzów w błąd; nazywając niezłomnymi prawidłami reguł, którymi dotychczas kierował się stary świat.

Jakżeż się to dzieje?

Ustrój hitlerowski opanował wszystkie dziedziny życia Niemiec. Sięgnął do samych podstaw organizacji bytu społecznego<sup>1)</sup>, do jego dwu głównych podpór: Kościoła i rodziny. Walczy z nimi a raczej ogranicza ich prawa, co się bez walki nie dzieje. Uznając potrzebę rodziny usuwa ją od wpływu na wychowanie młodzieży. Tą zajmuje się państwo przez liczne swe organizacje odbierając ją z rąk rodziców w latach niemal dziecięcych. Na tym też punkcie trwa walka z Kościołem, który nie chce zrezygnować ze swych od wieków ustalonych praw. Hitlerzywni jednak nie myślą ustępować i jak dotychczas zwyciężą.

W społeczeństwie starszym walka nie istnieje. Wszystkie siły całego kraju zostały zmobilizowane dla służby państwa. Od kierownika przedsiębiorstwa do ostatniego robotnika interes państwa przeważa nad interesem jednostki. Dywidendy są ograniczone do 6%; Państwo bierze resztę. Płaca robotnika jest sprowadzona do najkonieczniejszego minimum. Jednostka ma tylko znaczenie jako komórka organizmu państwowego.

Przynależność do tej lub innej klasy społecznej ma znaczenie tylko ze względu na doraźny interes Państwa. Dobrze się obecnie powodzi przedsiębiorcom, średniemu przemysłowi, a bardziej jeszcze wielkiemu; ogólnie rzecz biorąc wszelkiej wytwórczości. Z dużymi trudnościami walczą pracownicy umysłowi i drobna burżuazja, która nie umiała się przystosować. W przeciwieństwie do dobrze wynagradzanych specjalistów, robotnicy niewykwalifikowani są nędznie płatni.

<sup>1)</sup> „Ewangelia siły. Oblicze młodzieży w III Rzeszy“ — Robert d'Harcourt (Paryż).

Skąd jednak płynie wola wytrwania w niewątpliwie bardzo ciężkich warunkach życia, więcej nawet: entuzjazm potrzebny do realizowania olbrzymich zamierzeń gospodarczych? Niemcy przeżywają eksperyment. By wyjść zeń zwycięsko muszą żyć niejako tylko z własnych funduszy. Jakby w czasie blokady. Już teraz produkcja zboża jest wystarczająca, mięsa prawie także. Na wielką skalę przeprowadza się propagandę hodowli lnu. Wytwórczość jest ciągle deficytowa w dziedzinie wyrobów włókienniczych i tłuszczów. By dojść do samowystarczalności w tej dziedzinie trzeba Niemcom — tak obliczają koła miarodajne — trzech lat. Czy ludność wytrzyma? Oczywiście nie obejdzie się bez wielu ograniczeń i ofiar. Ale Niemców uczyła wielka wojna, przeżyli blokadę, która nie mniej niż armie aliantów przyczyniła się do ich klęski. Do stali twardą lekcję. Pamiętają ją dobrze.

Dlatego też gotowi są teraz do wielu wyrzeczeń. I jedząc suchy chleb myślą z dumą o armatach importowanych zamiast masła.

Dla wielkości własnego państwa.

## DWIE ALTERNATYWY

Jak reaguje ten mały kraj, obok którego dzieje się dramat, który jutro może obejmie całą Europę? — pyta pan Pierre La Mazière w reportażu z Portugalii drukowanym w *Marianne* 13 stycznia.

Łatwo wyobrazić sobie głęboką troskę ludności, los bowiem Portugalii rozgrywa się w wojnie hiszpańskiej. Na czym polega ta troska? Oto lud łagodny, spokojny, bojaźliwy wie — zresztą gazety słuchające rozkazów dyktatora powtarzają mu do znudzenia a radio współdziała z prasą — iż kilka z grup politycznych należących do hiszpańskiego frontu ludowego uważa że, ponieważ półwysep Iberyjski stanowi jedną całość geograficzną, oba państwa, które się nań składają, powinny się sfederować na wzór republik sowieckich.

Gdyby więc zwyciężyli rządowcy, oznaczałoby to koniec niepodległości Portugalii. Przeszłaby, oczywiście razem ze swoim olbrzymim imperium kolonialnym — trzecim na świecie (2.083.000 km. kwadratowych) — pod władzę Madrytu.

Nic więc dziwnego, że Portugalia życzy zwycięstwa generałowi Franco.

Od pierwszych chwil hiszpańskiego dramatu p. Oliveira Salazar, jego ministrowie i zwolennicy stanęli po stronie powstańców.

Wiedzą o tym w Madrycie.

To też Portugalczycy chcieliby, aby los walki wypadł pomyślnie dla powstańców. Czy mają dla nich sympatię? Napewno nie! Już kiedyś odczuli ciężar gniotącego ich buta Hiszpanów, którzy nimi pogardzają. Ale w strachu przed Madrytem zapominają o starych nienawiściach i uważają jego wrogów za swoich zbawców.

Pomagają im w miarę możliwości. Już w czasie pierwszych tygodni walki pozwolili by niemiecki materiał wojenny, wyladowany w Lizbonie, został przewieziony do Hiszpanii dla wojsk powstańczych. Pozwolili gen. Franco na wynajem portugalskiej stacji radiowej, która nie tylko nadaje najbardziej stronnice informacje, ale jeszcze określa położenie statków rządowych na morzu Śródziemnym, co pozwala je torpedować i bombardować. Kraj cały jest pozbawiony żywności przez transporty wysyłane do gen. Franco, za które zresztą ten ostatni słono musi płacić. Najchętniej dyktator uznałby oficjalnie rząd powstańczy. Ale koliduje to z życzeniami Anglii; jako potęga morska Portugalia musi się z Anglią liczyć.

A cóżby się stało, gdyby upragniony Franco wreszcie zwyciężył? Wtedy... wtedy bardzo możliwe, że Franco zapłaci z kieszeni Portugalii tym, którzy mu pomagali. A obaj poplecznicy potrzebują kolonii. Gdyby Franco chciał wykroić nagrodę dla

swych potężnych przyjaciół z posiadłości zamorskich Portugalii, ta nie-mogłaby przeciwdziałać.

Bronić się? Potrzebna do tego armia. Armia portugalska dobrze ubrana, obuta, żywiona, kierowana przez dowódców, którzy znają swój fach i obowiązki, jest dość zwrotna w terenie. Ale uzbrojenie ma rozpaczliwe.

Piechota używa starych Mauzerów z bagnietami przypominającymi pałasze zdobiące francuskich sanitariuszy przed 1914 rokiem. Te czcigodne fuzje rywalizują z armatami, model 1904, których nie można nabijać kartaczami bez wielkiego niebezpieczeństwa dla obsługi. Owa artyleria groźniejsza dla własnych żołnierzy niż dla wroga, jest chroniona przez kilka samolotów krajowej roboty i przez nie liczne aparaty francuskie i angielskie, do których należy dodać dziesięć bombowych Junkersów, zakupionych w grudniu.

Z chwilą więc gdyby Portugalia, w razie zwycięstwa Madrytu, chciała podjąć walkę, rezultat jest łatwy do przewidzenia. Mobilizacja. Zgromadzenie wszystkich sił na granicy. I krótki opór, któryby się tak skończył, jak opór Belgów i Serbów, gdy Niemcy i Austria napadły na nie w 1914 roku.

Całe państwo jest rządzone żelazną ręką dyktatora, p. Oliveiry Salazara. Wszystko widzi, wszystkim rozkazuje, wnika w najdrobniejsze szczegóły. Nie ma tekstu prawa, administracyjnego zarządzenia, dekretu, decyzji, którychby nie napisał właściciel.

Gdy się zna siłę jego woli, prostotę życia, głęboką uczciwość, niskość jego pensji i dewizę wszędzie ogłaszaną, gdy się wie z jaką surowością uderzał w frymarzących wpływami, w urzędników skorumpowanych, leniwych lub nieuczciwych, ludzi od których roiło się w Portugalii przed objęciem przez niego władzy — dobra wola Salazara nie ulega wątpliwości. Tym trudniej ujrzyć, w obecnym stanie rzeczy w Europie, jaki jest jego cel, dokąd dąży.

Gdy Piłsudski, Mustafa Kemal, Mussolini, Hitler obejmowali władzę, nie trzeba było być „wielkim wtajemniczonym” by zrozumieć, czego chcą.

Trochę rozsądku, namysłu, znajomości historii i traktatów, spojrzenie na mapę — mówiło o ich zamiarach.

Ale czego chce dyktator portugalski?

Jego dewiza „Tuto pe la Nacao” (wszystko dla narodu) oznacza prócz pracy, dyscypliny, uczciwości, poczucia obowiązku, jeszcze: walkę przeciw komunizmowi.

Byłoby to może słuszne, gdyby istniał komunizm w Portugalii. Tak nie jest.

P. Oliveira Salazar niewolnik pewnej ideologii, doszedł do uważania walki z komunizmem za cel, nie za środek. Ten profesor ma, bez ironii, duszę krzyżowca.

I — bolesny paradoks — właśnie by oszczędzić zła swej ojczyźnie, naraża ją na bardzo wielkie niebezpieczeństwo, wzbudzając nienawiść rządu madryckiego, przeciw której kraj się nie będzie mógł obronić.

Między młotem a kowadłem, lub raczej między sierpem a liktorskimi różgami. Taka jest sytuacja dyktatora.

Bywają lepsze — kończy p. Pierre La Mazière.

Z tego pobieżnego spojrzenia na wewnętrzną sytuację Portugalii, wynikają jasno dwie rzeczy: brak armii, choćby w państwie najbogatszym i mającym, dzięki swym kolonjom nieograniczone wprost możliwości rozwoju, czyni je zależnym od każdego, chociażby bosego, ale silnego napastnika. Po drugie, każda ideologia, każda doktryna, nawet gdyby ją teoretycznie uzasadniały wszystkie tomy Biblioteki Brytyjskiej, jest słuszna i dobra tylko gdy się podporządkuje interesowi państwa. Poza nim jest zawsze szkodliwa. (102).

## JEST SPOSÓB DLA RÓŻNYCH OSÓB



„CHORY” POSEŁ

Adres Redakcji i Administracji: **Warszawa 1, Al. Ujazdowskie 20 m. 7, tel. 7.11.97. Konto czekowe P. K. O. Nr. 25.544**

Numer pojedynczy 40 gr. — prenumerata miesięczna 1 zł. 40 gr. — kwartalna w kraju 4 zł. — zagranicą 6 zł.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca: **Leon Borkowski**

Godziny przyjęć redakcji: 5-6 we wtorki, czwartki i soboty. Administracja czynna codziennie 10-12 i 5-7.

Cennik ogłoszeń: za tekstem  $\frac{1}{1}$  — 300 zł.,  $\frac{1}{2}$  — 160 zł.,  $\frac{1}{4}$  — 85 zł.,  $\frac{1}{8}$  — 45 zł.,  $\frac{1}{16}$  — 25 zł. Za wiersz milimetry — 70 gr. Układ tabelaryczny 50% drożej.